

Sięgnęłam do młodzieńczego pamiętnika

NINA Andrycz — aktorka i poetka, zadebiutowała właśnie jako prozatorka. Jej pierwsza powieść to historia częściowo autentycznych przeżyć młodej dziewczyny, najpierw studentki Szkoły Dramatycznej, potem wschodzącej gwiazdy. Częściowo, bo życiorysy Anny i Niny nakładają się tylko do pewnego momentu. — Moja bohaterka jest podobna do mnie w pierwszych rozdziałach książki, gdy jeszcze chodzi do szkoły. Przy pisaniu tej części sięgałam nawet do mojego młodzieńczego pamiętnika. Nasze drogi rozchodzą się, kiedy Anna wkracza w świat dorosłych i poznaje wielu ludzi o znanych w Polsce nazwiskach. Ile dokładnie w tych siedmiu opisanym latach wzięłam z własnego życiorysu, a ile z wyobraźni — nie powiem. To powinno pozostać tajemnicą autora.

Anna czy może Nina, zgrabnie porusza się wśród dramatycznej, trzymającej w napięciu fabuły. Ludzkie ambicje i namiętności, nieustająca walka o sukces — wspaniałe zwycięstwa i dotkliwie porażki, naiwność młodości i wyrafinowana obłuda, wielka miłość i cyniczne zdrady — wszystko to dzieje się w niepowtarzalnej atmosferze Warszawy ostatnich lat międzywojnia. — Umieściłam swoją bohaterkę w ściśle zarysowanym okresie historycznym — dokładnie od roku 1932 do 39, ponieważ właśnie teraz, z perspektywy wielu lat widzę, jakie było niezwykle to polskie międzywojnie. Pomyśleć tylko, że była to epoka sprzed bomby atomowej, sprzed dziury ozonowej tudzież efektu cieplarnianego, sprzed totalitaryzmu, który zaatakował nas w 1939 roku, ale panował również po 45 i bardzo wykoślawił mentalność ludzi. Żyłam wtedy w państwie wielonarodowym i dlatego w mojej powieści występują różnoplemienne postacie. Zdarzały się oczywiście sporadyczne napaści, ale ogólnie — żyliśmy w symbiozie, szanowaliśmy się nawzajem. I moja książka temu chce dać wyraz, właśnie dzisiaj, kiedy tak nas gnębi nietolerancja, ksenofobia i — co tu ukrywać — schamienie.

Rzeczywiście, ani główna bohaterka, ani inne postacie, ani też miejsce akcji nie są istotą powieści Niny An-

drycz „My rozdwojeni”. — Ważny jest natomiast pewien problem psychologiczny, który nie stracił nie ze swej aktualności. Mam na myśli to, co sygnalizuje tytuł — walkę zaiste dramatyczną między siłami dobra i



Nina Andrycz
Fot. PAP/CAF

zła, wartości i antywartości. Ta walka toczy się wokół nas i wzmaga dezintegrację współczesnego człowieka. — Wzrost mu w tym pomaga poddawa-

nie się modom. Wszechwładna staje się na przykład, moda na negację — dzisiaj jest absolutnie w dobrym tonie wątpić w sens czegokolwiek, choćby w więzy uczuciowe pomiędzy ludźmi, poczciwie zwane miłością.

Nina Andrycz zdecydowanie i konsekwentnie odpierała ataki wszystkiego, co dziś obowiązujące. Stąd też język powieści tak bardzo cieszy ucho starannością, precyzyjnością i gładkością. — Ja z pełną premedytacją na 336 stronicach ani razu nie użyłam jakże modnych słów na k..., na d..., na g... itd., od których aż roi się w książkach i którymi rozbrzmiewa nasze miasto. Mało tego — dbałam jeszcze o urodę mowy polskiej, bo tego nauczono mnie bardzo dawno na pierwszym roku Szkoły Dramatycznej, ale za to raz na zawsze.

Dbalność o swoje dzieło — jego istotę, formę, styl jest pochodną wielkiej pokory, jaką odczuwa Nina Andrycz wobec publiczności. — Zarówno aktorka, jak i pisarka, poetka czy śpiewaczka, wirtuozka gry na fortepianie czy na skrzypcach, może żyć na przykład bez męża — no może, wiem to z doświadczenia. Jeżeli jest bardzo przepracowana, może obejść się bez kochanka — przez jakiś czas; bez zwykonej limuzyny, bez urlopu na Lazurowym Wybrzeżu. Natomiast absolutnie nie może istnieć bez publiczności. To publiczność jest solą naszej ziemi — oblecanej. I bez uważnego słuchacza, bez wnikliwego czytelnika — cóż nas czeka? Płaczą w samotności i zgrzytanie zębami.

KATARZYNA JÓZEFOWICZ